

**TIME
RIDERS**

2001 1912 1957 1941 2066

The logo features the words "TIME" and "RIDERS" in a bold, sans-serif font. "TIME" is positioned above "RIDERS". A gear-like border arches over the word "TIME". Below "RIDERS", a gear-like border arches under the word, with a leaf-like shape on the left side. The years 2001, 1912, 1957, 1941, and 2066 are placed along the bottom of the gear-like border.

O Autorze:

ALEX SCARROW zaczynał jako grafik, po czym zdecydował, że zostanie projektantem gier komputerowych. W końcu dojrzał i został pisarzem. Napisał wiele popularnych thrillerów oraz kilka scenariuszy, ale to pisanie dla młodzieży pozwala mu do woli cieszyć się pomysłami i koncepcjami, którymi bawił się podczas tworzenia gier.

Mieszka w Norwich z synem Jakubem, żoną Frances i dwoma bardzo grubymi szczurami.

Odwiedź witrynę www.time-riders.co.uk i zostań Jeźdźcem w Czasie.

Seria Time Riders:
Tom 1: Jeźdźcy w Czasie

Wkrótce kolejne tomy!

Alex Scarrow



TIME RIDERS

2001 1912 1957 1941 2066

Jeźdźcy w Czasie

Tłumaczenie: Karol Sijka

WYDAWNICTWO  ZIELONA SOWA

Tytuł oryginału: *Time Riders*

First published in Great Britain in the English language by
Penguin Books Ltd.

Copyright © Alex Scarrow, 2010
All rights reserved

© Copyright for this edition by Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.,
Warszawa 2013
All rights reserved

Wszystkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości
albo fragmentów książki możliwe jest tylko na podstawie pisemnej
zgody wydawcy.

ISBN 978-83-7895-100-1

Tłumaczenie: Karol Sijka

Redaktor prowadzący: Agnieszka Sobich
Redakcja: Magdalena Adamska
Korekta: Magdalena Adamska, Agnieszka Skórzewska
Skład i łamanie: Bernard Ptaszyński

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
00-807 Warszawa, Al. Jerozolimskie 96
tel. 22 576 25 50, fax 22 576 25 51
www.zielonasowa.pl
wydawnictwo@zielonasowa.pl

*Jakubowi, mojemu korektorowi
oraz pamięci Bullseye...
najwspanialszego ze szczurów.*

ROZDZIAŁ 1

Ocean Atlantycki rok 1912

– Wszyscy z pokładu E?! – krzyknął Liam O’Connor. Głos chłopaka popłynął wąskim korytarzem, odbijając się echem od metalowych ścian. – Ktoś tu jeszcze jest?

Było cicho, nie licząc odgłosów stłumionych krzyków i śpiesznych kroków na wyższym pokładzie oraz głębokiego, ponurego skrzypienia kadłuba, które nasilało się, w miarę jak dziób statku zanurzał się z wolna w wodach oceanu. Liam zaparł się o uciekającą spod stóp podłogę, chwytając za futrynę drzwi najbliższej kabiny. Rozkaz starszego stewarda był jasny – zanim Liam dołączy do niego na górnym pokładzie, musi upewnić się, że wszystkie kajuty po tej stronie pokładu są puste. Chłopak od razu uznał, że to kiepski pomysł. Kiedy schodził po schodach, słyszał przerażające, dojmujące krzyki, płacze kobiet i dzieci z wyższych pięter. Tutaj, na pokładzie E, wśród kabin drugiej klasy panował spokój. Nie było jednak zupełnie cicho. Z oddali dochodził huk lodowatego oceanu, ogromu wody wdzierającej się do tonącego statku, przelewającej przez otwarte grodzie i stopniowo wciągającej wszystko w odmęty.

– Ostatnia szansa! – krzyknął ponownie.

Kilka chwil wcześniej uratował młodą matkę z córką. Skryły się w kabynie w kamizelkach ratunkowych – kobietę sparaliżował strach. Leżała w łóżku, trzęsąc się i kurczowo trzymając dziecko w ramionach. Liam wyprowadził je z pokoju pod schody wiodące

na pokład D. Kiedy rozdzielali się na klatce schodowej, dziewczynka cmoknęła go w policzek i życzyła szczęścia. Wydawało się, że w przeciwieństwie do swojej roztrzęsionej matki rozumiała, że wszyscy są już zgubieni. Chłopak czuł, że rozkołysana podłoga nie daje oparcia dla stóp. W górnej części korytarza rozbrzmiał brzęk porcelany spadającej z półek w pokoju stewarda.

„Niedługo zatonie” – pomyślał i wyszeptał krótką modlitwę, po czym zajrzał do ostatniej kabiny. Pusta!

Przez podłogę, niczym pieśń gigantycznego wieloryba, przetoczyło się głośne skrzyknięcie. Bardziej je poczuł, niż usłyszał. Nagle zauważył, że coś mignęło za iluminatorem kajuty. Przez moment widział tylko ciemność. Sekundę później przed oczami chłopca przemknęła feeria bąbelków o barwie ręci.

– Pokład E pod wodą. Do diabła z tym. Nic tu po mnie – wyszeptał.

Wyszedł na korytarz i zobaczył, że w jego stronę zmierza strumień głębokiej na jakieś pięć centymetrów wody, delikatnie pluskając po wykładzinie.

– O nie!

Teraz mógł uciec jedynie w stronę położonego niżej drugiego końca korytarza.

„Za bardzo się ościągałeś, Liamie. Ty głupcze, za bardzo się ościągałeś” – skarcił się w myślach.

Uświadomił sobie, że dziewczynka z matką były znakiem od losu – powinien był wydostać się z pokładu razem z nimi. Lodowata woda dotarła do jego stóp, zamoczyła buty i swobodnie popłynęła dalej. Przeszedł kilka metrów, coraz bardziej zanurzając się w wodzie, która pochwyciła jego kostki, piszczele i kolana w mroźny uścisk. Tuż za rogiem, na końcu korytarza, znajdowały się schody, po których powinien był wchodzić pięć minut temu. Brnął dalej, krzywiąc się z bólu, zimna woda wzbierała wokół jego pasa i przenikała przez uniform. Zza dzwoniących zębów wydobywały się chmurki pary.

– Jezusie kochany, Matko Święta... Nie chcę tonąć! – wykrztusił.

Nie był to już niepewny, łamiący się głos dorastającego szesnastolatka, ale zduszone skomlenie przerażonego dzieciaka. Stopy nie znajdowały już oparcia, woda robiła się zbyt głęboka. Kawałek dalej, w miejscu, gdzie korytarz skręcał w prawo, ku schodom, woda sięgała zawieszonych na ścianie lamp, które zaczęły iskrzyć i migotać.

„Schody już pewnie pod wodą” – przemknęło Liamowi przez myśl.

Za rogiem woda musiała niemal sięgnąć sufitu i zalać co najmniej jedną z klatek schodowych. Jedyna szansa to wziąć głęboki oddech i zanurkować, licząc na to, że uda się dotrzeć choćby do półpietra.

– Jezuuu! – Zsiniałe usta drżały na myśl o przedzieraniu się pod wodą w ciemnościach, o zgubieniu drogi, rosnącej desperacji i kipieli morskiej zalewającej płuca.

Wtedy to usłyszał – coś poruszyło się za jego plecami.

ROZDZIAŁ 2

Ocean Atlantycki rok 1912

Odwrócił się i zobaczył stojącego w górze korytarza, zanurzonego po kostki w wodzie mężczyznę, który trzymał się poręczy, aby nie stoczyć się w dół.

– Liamie O’Connor!

– Utknęliśmy! – odrzyknął Liam. – Nie ma stąd wyjścia! – Jego głos przeszedł w pisk.

– Liamie O’Connor – spokojnie powtórzył mężczyzna.

– Słucham?

– Wiem, kim jesteś, chłopcze.

– Ha? Musimy..

Na twarzy mężczyzny pojawił się uśmiech.

– Słuchaj, Liamie – powiedział, patrząc na zegarek. – Zostały ci niecałe dwie minuty życia. – Nieznajomy spojrział na waniliowe, metalowe grodzie pokładu E. – Kadłub złamie się za jakieś półtorej minuty. Dziób, większa część statku, w której się znajdujemy, zatoni pierwszy, pójdzie na dno jak kamień. Rufa utrzyma się na powierzchni może minutę dłużej, po czym podąży naszym śladem: półtorej mili w dół.

– Nie, proszę. Nie, nie, nie – wyjęczał Liam, czując napływające do oczu łzy.

– Pod wpływem szybko rosnącego ciśnienia wygnie się kadłub statku. Powietrze rozsadzi nam bębni w uszach. Nity w ścianach

– ciągnął, delikatnie dotykając ich ręką – wystrzelą z grodzi jak pociski. Korytarz błyskawicznie wypełni się wodą, ale nie zdążysz utonąć – będziesz już zgnieciony. Szczęście w nieszczęściu.

– O Jezu... nie. Pomóż nam.

– Umrzesz, Liamie. – Mężczyzna uśmiechnął się ponownie. – Czyni cię to wyjątkowym.

– Wyjątkowym?

Nieznajomy podszedł, brodząc w sięgającej mu pasa wodzie.

– Powiedz. Chcesz żyć?

– Co? Można się jakoś stąd wydostać?

Światła w korytarzu zamigotały jednocześnie.

– Minuta do zatonięcia. Mało czasu.

– Można się jakoś stąd wydostać...?

– Możesz pójść ze mną – odpowiedział mężczyzna, wyciągając rękę. – Jest inna droga. Staniesz się niewidzialny. Będziesz fantomem zawieszonym pomiędzy światłami. Nie będziesz miał przyjaćiół. Nie znajdziesz miłości. – Uśmiechnął się lekko, chcąc złagodzić efekt swoich słów. – Dowiesz się o wielu rzeczach, które mogą wpędzić w szaleństwo, jeśli pozwoli się im zapanować nad umysłem. Niektórzy wybierają śmierć.

– Chcę żyć!

– Zrozum. Nie oferuję ci życia, Liamie. Daję tylko szansę ucieczki, nic więcej...

Liam złapał za migoczącą na ścianie lampę i podciągnął się do tyłu wzdłuż unoszącego się korytarza, powtórnie odnajdując stopami podłogę. Wokół nich rozległo się ogłuszające, przyprawiające o dreszcze trzaśnięcie.

– Statek umiera, Liamie. Titanic zatonie za kilka sekund. Za chwilę dołączysz do zastępów Pana, o ile w ogóle w Niego wierzysz. Zostań tu, a wszystko skończy się błyskawicznie. Gwarantuję.

Utonięcie, odkąd pamiętał, było dla chłopaka największym koszmarem; panicznie bał się wody i nigdy nie nauczył się pływać.

Po raz pierwszy dokładnie przyjrzał się twarzy mężczyzny: głębokim, smutnym oczom otoczonym zmarszczkami starości. Nagle zrozumiał.

– Jesteś aniołem?

– Nie, zwykłym starcem – odparł z uśmiechem nieznamy. W dalszym ciągu trzymał rękę wyciągniętą w stronę Liama. – Zrozumiem, jeśli zdecydujesz się zostać tutaj i umrzeć. Nie wszyscy mają odwagę ze mną iść.

Ciałem chłopaka wstrząsnął dreszcz. Pokładem targały konwulsje, w powietrzu krążył dźwięk rozdieranego metalu i trzask pękających nitów. Górne pokłady zapadały się jeden po drugim.

– Teraz, młody człowieku. Czas podjąć decyzję.

Liam podciągnął się, wyskoczył z wody i w desperacji chwycił rękę starca. Gdyby miał trochę czasu, gdyby jego umysłem nie zawładnęła panika, zastanowiłby się prawdopodobnie, kim jest nieznamy i jak właściwie planuje ich uratować. Ale teraz w jego głowie tkwiła tylko jedna myśl: „Nie chcę umierać. Nie chcę umierać”.

Światła nagle zgasły, pogrążając ich w całkowitej ciemności.

– Gdzie twoja ręka? Proszę! Nie chcę utonąć! – krzyczał Liam, wymachując na oślep rękami.

Palce musnęły starca, który pewnie chwycił i przytrzymał dłoń chłopca.

– Pożegnaj się ze swoim dotychczasowym życiem! – Starzec starał się przekrzyć huk łamiącego się wół statku.

Chłopiec zdążył jeszcze poczuć, jak wibrująca, metalowa podłoga korytarza pęka. A potem już tylko spadał... spadał spowity ciemnością.

ROZDZIAŁ 3

Nowy Jork
rok 2001

W dół, w dół... w dół.

Ciałem budzącego się Liama wstrząsnął dreszcz, nogi gwałtownie wierzgnęły. Z wciąż jeszcze mocno zaciśniętymi powiekami zdołał wyczuć ręką suchy, ciepły materiał owijający ciało. Panowała niemal grobowa cisza, za wyjątkiem delikatnego powiewu oddechu i odległego, stłumionego dudnienia rozlegającego się gdzieś nad nim. Wiedział, że w jakiś tajemniczy sposób znalazł się gdzie indziej – to było dość oczywiste. Leżał na łóżku lub na sofie. Otworzył oczy i zobaczył łukowaty sufit zbudowany z kruszących się cegieł, które ktoś lata temu pomalował białą farbą, odpadającą teraz płatami jak łupież. Z najwyższego punktu sufitu zwisała samotna, migocząca żarówka przyczepiona do zakurzonego kabla. Liam uniósł się na łokciach. Znajdował się w ceglany pomieszczeniu przypominającym piwnicę. Betonowa podłoga ginęła w ciemności, poza kręgiem światła zakurzonej żarówki.

„Gdzie ja jestem?” – przemknęło chłopcu przez myśl.

Usiadł, czując mdłości i zawroty głowy. Zdał sobie sprawę, że patrzy na stojące metr dalej łóżko piętrowe. Na dolnym materacu leżała starsza od niego o kilka lat dziewczyna, która niespokojnie wierciła się przez sen. Na oko mogła mieć osiemnaście, może dziewiętnaście lat: bardziej młoda kobieta niż dziewczyna. Przewróciła

oczami pod powiekami i zaskomlała żałośnie. Łóżko nieustannie trzeszczało i skrzypiało od szarpnięć jej wierzgających nóg.

– Gdzie ja, do diabła, jestem? – wyszeptał Liam.

ROZDZIAŁ 4

gdzieś nad Ameryką
rok 2010

Maddy Carter niezdarnie odwróciła się, aby splukać wodę. Toaletę groźnie zasyczała. Dziewczyna zastanawiała się, czy osoba, która nieopatrznie wciśnie spluczkę, siedząc na sedesie, zostanie wessana przez otwór i spuszczonej wraz z deszczem odchodów czterdzieści tysięcy stóp w dół.

Niezła myśl.

Maddy umyła się na tyle dokładnie, na ile pozwalała ciasna kabina toalety. Gdy patrzyła na ostatnią porcję wymiocin wciąż unoszących się w umywalce, odetchnęła z ulgą, że posiłek, jaki dostała od stewardesy, szczęśliwie wydostał się na wolność i nie zatruwa już żołądka. Przetarła usta nadgarstkiem i sprawdziła w lustrze, czy we włosach nie utkwiły jakieś zdradliwe kawałki wymiocin. Z lustra spoglądała na nią blada twarz wysokiej, niezgrabnej dziewczyny. Policzki pod oprawkami okularów pokrywały gęsto rozsiane, znielowidzone piegi. Blond włosy o rudawym odcieniu opadały bezwładnie na kościste ramiona, na których wisiała koszulka z logo Microsoftu.

Tak, stuprocentowy *geek*. Tym właśnie jesteś, Maddy.

Geekietka... prawdziwe dziwadło – kobieta szalejąca za obwodami drukowanymi, upgradowaniem sprzętu, hakowaniem Internetu w iPhonach... dziewczyna *geek*. Dziewczyna *geek*, która na pokładzie samolotu zawsze wpada w obłąd.

Maddy odblokowała zamek, otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz. Spojrzała na główny pokład samolotu, morze zagłówek i podskakujące zarysy kilkuset głów. Poczowała, że ktoś złapał ją za ramię. Odwróciła się i zobaczyła starszego mężczyznę stojącego przy rządzie kabin toaletowych.

– Słucham? O co chodzi? – spytała, ściągając z uszu brzęczące słuchawki.

– Jesteś Madelaine Carter z Bostonu. Siedzisz na fotelu numer 29 D.

Popatrzyła na niego w zdumieniu.

– Słucham? Chcesz zobaczyć mój bilet albo...?

– Obawiam się, że zostało ci jedynie kilka minut życia.

Poczowała, że w jej żołądku znów wzbiera potok na wpół strawionego jedzenia. Zdanie „zostało ci kilka minut życia” to chyba ostatnia rzecz, jaką na pokładzie samolotu chciałaby usłyszeć osoba panicznie bojąca się latania. Do tej samej kategorii zaliczyć można słowa takie jak „terrorysta” i „bomba” – ich także nie należy wypowiadać w zatłoczonym samolocie pasażerskim podczas lotu. Starszy mężczyzna dyszał, jakby właśnie przed chwilą dogonił odjeżdżający pociąg.

– Za kilka minut wszyscy w tym samolocie zginą.

Pomyślała, że istnieją dwa rodzaje osób zdolnych powiedzieć coś takiego: kompletni wariaci, którym właśnie odstawiono lekarstwa lub....

– O mój Boże! – wyszeptała Maddy. – Nie jesteś chyba terrorystą?

– Nie, przybyłem tutaj, żeby cię uratować, Madelaine – spokojnie odpowiedział mężczyzna i spojrzał na morze głów po obu stronach pokładu. – Obawiam się jednak, że tylko ciebie.

– Co?... Kto?... Ja? – Usta dziewczyny drżały.

– Czas ucieka. – Nieznajomy spojrzał na zegarek. – Za około dziewięćdziesiąt sekund mały ładunek eksploduje w połowie długości samolotu, po prawej stronie maszyny. Wybuch rozerwie kad-

lub, nastąpi nagła dekompresja, samolot zacznie gwałtownie piko-
wać. Dwadzieścia sekund później odpadnie skrzydło, wyleje się i od
razu zapłonie paliwo lotnicze – westchnął. – Zderzenie z lasem,
które nastąpi jakieś trzydzieści siedem sekund później, zabije
wszystkich pasażerów, którzy nie zdążą splonąć.

Maddy poczuła, jak z twarzy odpływa jej krew.

– Przykro mi – dodał mężczyzna – ale nikt nie przeżyje kata-
strofy.

– To... to jakiś chory żart, prawda?

– Żaden żart – odpowiedział. – Ty jedna masz wybór. Możesz
wybrać życie.

„Mówi poważnie” – pomyślała Maddy, a coś z tyłu głowy pod-
powiadało jej, że facet wcale nie jest na lekach. Poczwała duszności,
więc instynktownie sięgnęła po inhalator.

– Dziewięćdziesiąt sekund? Bomba eksploduje? – pytała nie-
składnie.

– W tej chwili nawet mniej.

To nie świr...

– O Boże, to ty podłożyłeś b... bombę. Czego chcesz?

– Nie, nie ja. Nie jestem terrorystą. Po prostu wiem, że samolot
wybuchnie. Jutro rano do zamachu przyzna się grupa terrorystów.

– Mamy czas? Nie możemy znaleźć bomby i wyrzucić jej z sa-
molotu? – spytała Maddy drżącym głosem. „B” w słowie bomba za-
brzmiało jednak zbyt głośno. Kilka zaalarmowanych osób błyska-
wicznie podniosło głowy, żeby spojrzeć na dziewczynę.

– Nawet gdybyśmy mieli czas, nie mógłbym zmienić biegu wy-
darzeń. Nie potrafię zmienić historii. Samolot musi spaść – mówił
nieznajomy, kręcąc głową.

– Mój Boże! – jęknęła Maddy.

– Jedyne, co mogę zrobić, to zabrać cię stąd przed eksplozją.

Spojrzała na ludzi w samolocie. Kolejne głowy odwracały się
w jej stronę. Słyszała coraz głośniejszy szmer głosów, a fala szeptów
niosła z rzędu do rzędu słowo „bomba”.

– Jeśli weźmiesz mnie za rękę, przeżyjesz – powiedział mężczyzna, ofiarując jej swoją dłoń. – W zamian będziesz musiała mi pomóc. Możesz też zostać. Wybór należy do ciebie, Madelaine.

Maddy uświadomiła sobie, że po jej policzkach płyną łzy przerażenia. Mężczyzna sprawiał wrażenie całkowicie zdrowego na umyśle. Wydawał się spokojny. Śmiertelnie poważny. Ale... jakim cudem ktokolwiek mógłby opuścić samolot lecący kilka tysięcy stóp nad ziemią?

– Wiem, że nie wierzysz w Boga – powiedział. – Czytałem twoje akta. Jesteś ateistką. Nie zamierzam wmawiać ci, że jestem aniołem. Masz lęk wysokości, nienawidzisz latania. Twoją ulubioną marką napoju jest Dr Pepper. Nęka cię powracający koszmar, w którym spadasz z pomalowanego na żółto domku na drzewie. Wiem o tobie dużo, dużo więcej.

– Skąd to wszystko wiesz? – Maddy zmarszczyła brwi.

Ponownie spojrzął na zegarek.

– Zostało trzydzieści sekund.

Z głębi pokładu zmierzała w ich kierunku stewardesa z przerażeniem wymalowanym na twarzy.

– Wiem, że pasjonujesz się powieściami *science fiction*, Madelaine. Może łatwiej pojmiesz to wszystko, jeśli oznajmię, że pochodzę z przyszłości.

– Ale... ale to niemożliwe – powiedziała Maddy z rozdziawioną ze zdziwienia buzią.

– Podróżowanie w czasie stanie się rzeczywistością za około czterdzieści lat. – Wyciągnął w jej kierunku dłoń, na którą spojrzała niepewnie.

– Dwadzieścia sekund, Madelaine. Weź mnie za rękę.

Spojrzała na pokrytą zmarszczkami twarz nieznajomego.

– Dlaczego? Dlaczego...?

– Dlaczego ty?

Kiwnęła głową.

– Idealnie odpowiadasz profilowi – odpowiedział mężczyzna.

Nerwowo przełknęła ślinę, czując, że jej oddech staje się coraz bardziej świszczący i nieregularny. Dziewczynę ogarnęła panika. Nie była w stanie sformułować sensownego pytania.

– Potrzebujemy cię! – powiedział starzec, spoglądając na zegarek.

– Piętnaście sekund, czas podjąć decyzję.

– Kim jesteś?

– Ja, a właściwie my... naprawiamy to, co zepsute. A teraz weź mnie za rękę, Madelaine. Chwyć ją teraz.

Instynktownie złapała go za dłoń.

Podeszła do nich stewardesa.

– Przepraszam – wtrąciła się – ktoś poinformował mnie, że głośno wypowiadają państwo słowo na B... „bomba” – wyszeptała.

– Przykro mi bardzo, ale nie można używać takich słów na pokładzie samolotu pasażerskiego.

Starzec spojrział na nią ze smutnym uśmiechem.

– Nie, to mnie jest przykro, proszę pani. Naprawdę.

– Czy to się dzieje naprawdę? – spytała Maddy, spoglądając na nieznanego. – Okej! – wyksztusiła, mocno chwytając go za rękę.

Stewardesa z zainteresowaniem przechyliła głowę, marszcząc czoło i ściągając usta. Już miała zapytać, jak niby zamierzają się stąd wydostać, ale w tym samym momencie świat stał się oślepiająco biały.

Maddy zamknęła oczy.

ROZDZIAŁ 5

Nowy Jork
rok 2001

Wydawało się jej, że krzyczy, choć była to tylko jedna z możliwości. Mógł to być jej własny głos, ale również dźwięk odrywającego się od samolotu skrzydła. Mogły to być nawet krzyki stewardesy. Nie była pewna.

Przerażające uczucie spadania, osuwania się w ciemność.

– Nieee! – wrzasnęła ochryplym głosem, przypominającym rozdzierające ryki zwierząt prowadzonych na rzeź.

Jej ciałem wstrząsnął nagły, gwałtowny dreszcz.

– Jezusie Przenajświętszy – obok niej rozległ się męski głos.

Maddy szeroko otworzyła oczy, wlepiając wzrok w migoczącą żarówkę zwisającą z ceglanego sufitu. Chwilę później zobaczyła zarzewiałe sprężyny brudnego materaca zawieszzonego nad jej głową. Odwróciła głowę w prawo i zobaczyła gładką twarz młodego mężczyzny siedzącego na zapuszczonym, metalowym łóżku naprzeciwko niej. Chłopak miał na sobie biały strój przypominający uniform kelnera.

– Jezusie Przenajświętszy, ze strachu aż podskoczyłem – wykrztusił. – Śpisz sobie spokojnie, a chwilę później zaczniesz się wydierać, jakby cię żywcem ze skóry obdzierali.

Maddy poczuła, że jej oddech szeleści jak przerażona ćma zła pana w pułapkę. Zauważyła, że w rękach wciąż trzyma inhalator, który kilka sekund wcześniej wyjęła na pokładzie samolotu. Przy-

stawiła aparat do ust i wzięła długi, głęboki wdech. Gdy już poczuła, że w płucach znalazła się wystarczająca ilość powietrza, powoli usiadła.

– Ja nie żyję. Muszę być martwa.

– Ja też... chyba... – Na twarzy młodego mężczyzny pojawił się nieśmiały uśmiech.

– Jest tu ktoś jeszcze? – spytała Maddy.

Liam kiwnął głową.

– Tak, młoda dziewczyna o ciemnej karnacji. Jeszcze śpi.

– Ma na imię Saleena! – rozbrzmiał głos w ciemności.

Oboje odwrócili się gwałtownie i utkwili wzrok w mroku poza kręgiem światła rzucanego przez nagą żarówkę. Usłyszeli odgłos kroków na betonowej posadzce. Z ciemności stopniowo zaczęła wyłaniać się sylwetka mężczyzny niosącego tacę.

– Kawy? – spytał starzec.

– O mój Boże! – wykrztusiła zdziwiona Maddy, rozpoznając twarz nieznanego.

Szczęka Liama opadła z zaskoczenia.

– To ty! Człowiek z pokładu E.

– Zgadza się – spokojnie odpowiedział mężczyzna. – Nazywam się Foster.

Podszedł do nastolatków, kładąc na podłodze pomiędzy łózkami tacę z wyszczerbionymi kubkami i pudełkiem pączków. Usiadł obok Liama.

– Wy natomiast nazywacie się Madelaine Carter i Liam O’Connor – odrzekł i ruchem głowy wskazał na górny materac. – Dziewczynka, która tam leży to Sal Vikram. Jest najmłodsza. Ma trzynaście lat. Biedne dziewczę, będzie przerażona, gdy się obudzi. – Proszę. – Podał Liamowi i Maddy po kubku kawy. – Obojgu wam pewnie przyda się mały zastrzyk energii.

– Pan Foster, tak? – spytał Liam.

– Foster... Pan Foster. Jak wam wygodniej – z uśmiechem odpowiedział mężczyzna.

– Panie Foster, gdzie my jesteśmy?

Maddy również spojrziała na starca pytająco.

– Ja na przykład powinnam być już martwa. Nie ma mowy, za żadne skarby nie mogłeś mnie wyciągnąć z tego samolotu. Nie ma szans.

– Podróże w czasie, pamiętasz? – powiedział Foster, uważnie spoglądając na dziewczynę.

– Ale to niemożliwe – odpowiedziała Maddy, mrużąc oczy.

– Niestety możliwe – rzekł starzec.

– Czym są podróże w czasie? – spytał Liam.

– Nabijasz się, co? – Maddy spojrziała na niego z kpiną.

– Nie traktuj chłopaka zbyt ostro – powiedział Foster. – Pochodzi z tysiąc dziewięćset dwunastego roku. Ludzie nie oglądali wtedy seriali *science fiction* ani nie czytali komiksów.

Dziewczyna ponownie przyjrzała się ubraniu Liama i doszła do wniosku, że chłopak nie jest żadnym kelnerem, ale stewardem ze statku. Zauważyła wyszyty na kieszonce koszuli napis „White Star Lines”.

– Tysiąc dziewięćset dwunasty? Mówisz poważnie?

– Śmiertelnie – odpowiedział Foster. – Liam służył na Titanicu. Maddy z niedowierzaniem otworzyła usta.

– O co chodzi? – Liam wyglądał na zmieszanego. – Dlaczego tak na mnie patrzysz?

– Dlatego Liamie, że pochodzisz z Irlandii sprzed stu lat. – Starzec się zaśmiał. – A ta dziewczyna z Nowego Jorku roku dwa tysiące dziesiątego.

Liam podejrzliwie zmarszczył brwi.

– Seleena Vikram, która śpi na górnym materacu, przybyła tutaj z Mumbaju w Indiach z dwa tysiące dwudziestego szóstego roku. – Foster wyszczerzył zęby, a jego twarz zmarszczyła się jak pergamin. – A co do mnie – kontynuował z uśmiechem – powiedzmy, że pochodzę z Nibylandii.

– O mój Boże, daj spokój. No, powiedz skąd? Z dwudziestego drugiego wieku? Z jeszcze dalszej przyszłości? – natarczywie pytała

zaciekawiona Maddy. Nie była w stanie nic wyczytać z jego uśmiechu. – Czy w twoich czasach istnieją statki kosmiczne? Czy ludzie skolonizowali układ słoneczny? Czy można już podróżować z prędkością światła?

Podniósł rękę uciszającym gestem.

– Wyłumaczę wam innym razem. W tej chwili mamy pilniejsze sprawy na głowie.

Nie zdążyli zareagować, bo na górnym materacu coś zaczęło się poruszać.

– Zaczyna odzyskiwać przytomność – powiedział Foster. – Będzie bardziej zdezorientowana, bardziej przerażona niż ktorekolwiek z was.

– Szczerze wątpię – rzuciła Maddy, podnosząc do ust kubek z gorącą kawą.

Pomruki wydawane przez dziewczynę przechodziły w coraz głośniejszy skowyt. Foster wstał i pochylił się nad górnym materacem.

– Cii... wszystko dobrze, Saleena – mówił kojącem tonem. – To już koniec. Już jesteś bezpieczna.

Nagle kwiląca dziewczyna zaczęła wydzierać się w niebogłosy. Gwałtownie otworzyła oczy i usiadła na łóżku, sztywno prostując plecy.

Foster mocno chwycił ją w ramiona.

– Saleeno. Jesteś bezpieczna, nic ci tutaj nie grozi. To już koniec. – Mężczyzna mówił szybko uspokajającym tonem.

Dziewczyna ciężko dyszała. Za opadającą na wąską twarz czarną grzywką połyskiwały szeroko otwarte oczy podkreślone grubą, ciemną konturówką. Rozbiegany wzrok co chwilę zatrzymywał się na innym punkcie, dziewczyna nie mogła pojąć, co się wokół niej dzieje.

– To już koniec, Saleeno – powtórzył Foster. – Już jesteś bezpieczna.

Utkwiła wzrok w starcu. Strzepnęła grzywkę z prawie całkowicie spopielałej twarzy, z naturalnie ciemnobrązowej skóry odpłynął kolor, zostawiając trupioblady odcień.

Liam wstał, spojrzął na łóżko i ze zdziwieniem zmarszczył brwi, zaskoczony dziwacznym wyglądem małolaty: miała na sobie ciemną bluzę z kapturem i jaskrawo pomarańczowym, niewyraźnym napisem; rurkowate, porozpruwane dżinsy pokryte niezliczonymi warstwami łań i o dwa rozmiary za duże buty ze sznurówkami owiniętymi wokół kostek... W górnej wardze dziewczyny tkwił mały ćwiek.

– Hmm... – Liam powtórnie spojrzął na dziewczynę z niedowierzaniem i podał jej rękę na powitanie. – Nazywam się Liam O'Connor. Miło mi cię...

– Daj jej sekundę, Liamie – powiedział Foster. – W jej przypadku ekstrakcja przebiegła szczególnie traumatycznie.

– To ty? Mężczyzna, mężczyzna z płomieni? – Jej głos był cienki i drżący.

– Tak. – Foster uśmiechnął się ciepło. – To ja, Saleeno.

– Sal! – odpowiedziała. – Tylko moi rodzice nazywają mnie Saleena.

– Niech będzie Sal – zgodził się, pomagając jej wstać.

Dziewczynka spuściła nogi z materaca i w milczeniu przyjrzała się pozostałej dwójce: chłopcu ubranemu jak hotelowy portier i okularnicy z prostymi włosami.

– Cześć! – przywitała się Maddy. – Witaj w Dziwnowie.

– Zrób jej trochę miejsca. Pozwól złapać oddech.

– Posiadasz osobliwy akcent – stwierdził Liam.

– I kto to mówi! – prychnęła Maddy.

– Pochodzi z Mumbaju, miasta w Indiach, Liamie. Znanego ci jako Bombaj – wytłumaczył Foster.

– Ale ona mówi po angielsku, czyżby myliły mnie uszy? – nie mógł nadziwić się chłopak.

– Ja nie mogę! – zakpiła Maddy, wywracając oczami. – Tak jak wszyscy. To naród dwujęzyczny.

ROZDZIAŁ 6

Nowy Jork
rok 2001

Kubki były już puste, w pudełku został ostatni, niechciany pączek.

– Zostaliśmy... zrekrutowani? – powtórzyła Maddy.

– Tak jest. Od dzisiaj pracujecie dla Agencji.

– Hmm... A czym dokładnie jest Agencja? – Liam pochylił się z ciekawością.

– Pozwól mi wyjaśnić wszystko od początku. Potem będziecie mogli pytać do woli. Dzięki temu wszystko pojmiecie o wiele szybciej. Skinęli głowami.

Foster wskazał ciemność za wnęką, w której stały łóżka.

– Wyłączyłem pozostałe światła, żeby nie przeraził was widok tego miejsca i całego sprzętu. Poudawajmy teraz, że jest tu tylko ta mała wnęka, żarówka i nas czworo... od tego zacznijmy.

Mężczyzna wziął głęboki oddech.

– Podróżowanie w czasie to fakt.

Pozwolił, aby zdanie zawisło w powietrzu na kilka chwil.

– Traktat naukowy kładący teoretyczne podwaliny pod zagadnienie podróży w czasie został napisany w dwa tysiące dwudziestym dziewiątym roku – kontynuował starzec. – Prototyp wehikułu czasu został skonstruowany w roku dwa tysiące czterdziestym czwartym. W ten sposób otworzyliśmy puszkę Pandory, której nijak nie możemy zamknąć – westchnął.

Badawczo popatrzył na nastolatków; skupione oczy starca wycierały spomiędzy zmarszczonych brwi i ziemistych policzków pokrytych warstwami krzyżujących się zmarszczek.

– Gatunkowi ludzkiemu nigdy nie było pisane manipulowanie czasem. Nigdy! Ale teraz, kiedy wiedza na ten temat jest dostępna, ktoś musi pilnować, aby nikt nie podróżował w czasie. A jeśli już jakiś głupiec to robi, odpowiednie służby muszą jak najszybciej naprawić szkody.

Chropawy głos mężczyzny lekko zadrżał.

– Podróżowanie w czasie to straszliwa broń, najpotężniejsza, jaką kiedykolwiek wynaleziono – powiedział ponuro. – Gatunek ludzki nie jest jeszcze przygotowany na taką wiedzę. Jesteśmy niczym dzieci przerzucające bombę atomową z ręki do ręki jak gorącego ziemniaka.

Liam pytająco przechylił głowę.

– Czym jest bomba atom...?

– Wyjaśnię ci później – przerwał mu Foster. – Ale oto stoicie wszyscy troje w tym miejscu – powiedział, wskazując ciemność poza zasięgiem żarówki. – Na całym świecie jest zaledwie kilka grup takich jak nasza. Niestety, niewielu jest Jeźdźców rozrzuconych w czasie i przestrzeni, ludzi, którzy cierpliwie czekają i szukają.

– Szukają czego? – spytała Maddy.

– Przesunięcia.

– Przesunięcia?

Przytaknął.

– Początkowo to coś bardzo nieznaczącego, prawie niedostrzegalnego dla ludzkiego oka: drobna fala, którą można i należy złapać. Trzeba jednak uważać, bo z czasem, niezauważenie, przybiera ona na sile, zamienia się w tsunami, staje się niepowstrzymana, nieposkromiona. A wtedy wszyscy możemy mieć naprawdę przechłapanie.

Utkwione dotychczas w ciemności, nieobecne oczy Sal spojrzały na Fostera.

– Czym jest przesunięcie?

– Przesunięcie to skutek zaburzenia osi czasu.

Foster zacisnął usta i zamyślił się na chwilę.

– Dobrze. Pomyślcie o tym w ten sposób: czas to nieruchoma woda w basenie lub wannie. Próbowaliście kiedyś wejść do wanny bez wywołania fali, zrobienia choćby najmniejszej zmarszczki na tafli wody? To niemożliwe, prawda?

Cała trójka zgodnie przytaknęła, nad ich głowami delikatnie zamigotała i zasyczała żarówka.

– Na podobnej zasadzie nie da się powrócić do przeszłości bez wywołania drobnej fali. Problem w tym, że taka fala rozszerza się i powiększa. W końcu zamienia się w gigantyczne tsunami, które rośnie i niszczy wszystko, co napotka na drodze, aby zastąpić to nowym światem... alternatywną wersją uniwersum.

– Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem. – Liam potrząsnął głową.

– Ja rozumiem – powiedziała Sal. – Jeżeli przeszłość zostanie zmieniona choćby odrobinę, przyszłość zmieni się w bardzo dużym stopniu.

– Dokładnie tak, Sal – pochwalił ją Foster.

Żarówka na chwilę przygasła i zamigotała kilkakrotnie. Foster niecierpliwie spojrzął do góry.

– Znowu gwint się złuzował – powiedział z irytacją.

Wstał, ostrożnie okrył dłonie rękawami swetra i dokręcił żarówkę, która przestała błyskać.

– Przydałoby się wymienić instalację... nigdy nie ma na to czasu. Maddy rozejrzała się dookoła.

– Gdzie jesteśmy? Wygląda to jak jakiś obrzydliwy most kolejowy.

– Trafiłaś niemal idealnie. Właściwie to...

Światło zgasło i rozbłysło ponownie.

– O nie! – Twarz Fostera zrobiła się nagle blada jak kreda.

– O co chodzi? – spytała Maddy.

- Jest tutaj – wyszeptał starzec.
- Przesunięcie? – zapytał Liam.
- Nie. – Mężczyzna potrząsnął głową. – Gorzej.

ROZDZIAŁ 7

Nowy Jork
rok 2001

Foster wciąż wpatrywał się w migoczącą żarówkę.

– Odprowadza energię. A ja głupi myślałem, że to przeklęta żarówka nawala – syknął.

– Co odprowadza energię? – spytała Maddy.

Napięcie w głosie Foster'a zaniepokoiło pozostałych.

– Byłem pewien, że to odpłynęło.

– Co za „to”? – zapytał Liam.

Foster odwrócił się do niego, przykładając palec do ust.

– Szukacz. Do tej pory powinien był zniknąć... Musiał w jakiś sposób wysysać energię, dzięki której utrzymał się przy życiu.

Starzec wyciągnął rękę w stronę przełącznika zamontowanego na ceglanej ścianie. Nacisnął przycisk. Żarówka zgasła, pograżając ich w całkowitej ciemności.

– Ciemno. – Głosik Sal delikatnie przeciął zalegającą ciszę.

– Cii, wszystko w porządku – wyszeptał Foster. – Przez chwilę nie możemy ruszać się z miejsca. Nic się nie stanie, dopóki pozostaniemy nieruchomo.

Przerywana nierównymi oddechami cisza przedłużała się w nieskończoność. Wzrok Liama wyłowił w ciemności ulotny kształt, delikatną poświatę, niewyraźny zarys...

– Szukacz – szepnął Foster. – Jest już bardzo osłabiony, goni resztkami sił.

– Wygląda jak duch. – Maddy poruszyła się nerwowo.

– Nie wiemy, czym dokładnie są, ale zdarza się, że po otwarciu portalu, zwabiony szukacz przypadkowo przedostaje się do naszego świata tuż za podróżnikiem – wyjaśnił Foster.

Falująca zjawy zapulsowała i zaświeciła niczym gromada światełek, rozżarzonych węgielków unoszących się nad ogniskiem.

– Teraz rozumiem, co się tu wydarzyło. Poprzedni zespół... – wyszeptał Foster i zawiesił głos.

– Poprzedni zespół... co? – dopytywała Maddy.

– Podczas powrotu z ostatniej misji musiałem zwabić jednego z nich – odpowiedział. – Wyszedłem po jedzenie, wróciłem kilka godzin później... – Zamyślił się na chwilę, zastanawiając się, jak dobrać. – To, co z nich zostało, nie wyglądało najlepiej.

Liam usłyszał, jak Maddy wstrzymuje oddech.

– Szukacze to czysta energia, choć mogą przybierać fizyczne kształty, jeśli zostaną odpowiednio naładowane. Nie wróży to nic dobrego.

Błada, niebieska chmura unosiła się w ciemności jak widmo, duch zagubiony na cmentarzu, smuga porannej mgły w głębokim, ciemnym lesie.

– Ale ten osłabł. Myślałem, że odszedł, rozplynął się w powietrzu. – Foster potrząsał głową z niedowierzaniem. – Sprzątałem cały ten bałagan, przeglądałem wasze akta na komputerze, przygotowałem się do podróży w czasie, aby was tu sprowadzić, a przez ten czas zjawy unosiła się gdzieś tutaj w powietrzu.

Widmo znieruchomiało. Unosiło się kilka metrów od nich – mętna, pulsująca poświata, która na ułamki sekund przybierała kształty przywołujące Liamowi na myśl mityczne stworzenia – centaury, jednorożca, smoka, po czym ponownie zmieniała się w bladą chmurę.

– Wydaje mi się, że jest zbyt słaby, aby przyjąć jakąkolwiek stałą formę. Umiera. Ale na razie powinniśmy zachować bezpieczną odległość.

– Czy to coś wie, że tu jesteśmy? – spytała Maddy.
– Możliwe.
– Skąd przybyło? – Liam niespokojnie oblizwał usta.
– Z innego, równoległego wymiaru – odpowiedział Foster. – Tak jak ćmy są przyciągane przez światło, tak szukacze wabi energia portalu. Te stworzenia to kolejny powód, dla którego ludzie nie powinni majstrować przy czasie.

Zjawia ponownie się poruszyła i z wolna skierowała w ich stronę.

– Jest coraz bliżej – szepnęła Sal.

– Tak, spokojnie.

– Ale jesteśmy bezpieczni, prawda, panie Foster? – dopytywał Liam. – Powiedział pan, że nie zrani nas, ponieważ jest zbyt słaby.

Ciemność i przeciągające się milczenie Fostera bynajmniej nie było krzepiące.

– Powinniśmy opuścić to miejsce – odpowiedział w końcu. – Bańka czasowa pod mostem zostanie zresetowana za trzydzieści godzin. Szukacz nie pożyje wiele dłużej.

– Bańka czasowa?

– Wyjaśnię na zewnątrz. Teraz wszyscy muszą chwycić się za ręce. Można się tu przewrócić o te wszystkie graty. Wychodzimy.

Liam, Maddy i Sal wyciągnęli ręce, szukając na oślep swoich dłoni.

– Czyja to ręka? – zapytał Foster, ściskając złapaną dłoń.

– Ałaja... moja – syknął Liam.

– Trzymasz kogoś?

– Chyba mnie – szepnęła Maddy. – A ja trzymam rękę Sal.

– Świetnie. Teraz idziemy. Powoli i cicho.

Foster wstał, delikatnie pociągając za sobą Liama. Chłopak nie spuszczał wzroku z białej chmury unoszącej się jedynie kilka metrów dalej: pierzchliwa, przyjmowała coraz to nowe fantazyjne i szybko rozplywające się formy. Liam nadepnął na coś pełzającego po podłodze. Obawiając się potknięcia i wywołania hałasu, w ostatniej chwili ostrożnie ominął przeszkodę. Zza jego pleców dochodziły

odgłosy lekkich kroków Maddy i Sal. Foster bezszelestnie wyszukiwał drogę w ciemnościach. Po kilkudziesięciu, długich jak wieczność, sekundach Liam wyczuł, że wreszcie dotarli do ściany.

– Gdzieś tutaj muszą być drzwi – wyszeptał Foster.

Chłopak słyszał jak mężczyzna bada dłońmi kruszącą się, ceglana ścianę. Po chwili zabrzmiało delikatne stukanie kostek o metal.

– Znalazłem.

Liam obejrzał się przez ramię. Szukacz był już zaledwie niewyraźną plamą w ciemności.

– Bez prądu muszę podnieść roletę ręcznie, za pomocą korby. – Foster zaklął pod nosem.

– Długo to potrwa? – cichutko spytała Sal.

– Powinno pójść szybko.

– To dobrze, bo szukacz jest coraz bliżej – powiedziała Sal, spoglądając na innych. – O Boże, słyszycie to? On szepcze!

Liam badawczo przyglądał się niebieskawej, bladej plamie. Nie słyszał nic poza dźwiękiem podnoszonej rolety.

– Nie... to nic nie mówi, ale rzeczywiście jest coraz bliżej.

Nienaoliwiona korba trzeszczała, metalowy pancerz rolety głośno stukał w prowadnicach, podnosząc się centymetr po centymetrze.

Nogi Liama owiał rześki podmuch świeżego powietrza, między posadzką a krawędzią bramy ukazał się błądy prześwit.

– Ona ma rację, Foster, szukacz jest zdecydowanie za blisko – niecierpliwiła się Maddy. – Nie możesz tego robić odrobinę szybciej?

Drzwi głośno, metalicznie łomotały. Strumień światła dziennego poszerzał się o wiele za wolno.

– Proszę... powinno wystarczyć, żeby się precyzyjnie – wydusił zdyszany z wysiłku Foster.

– Panie przodem – zaferował Liam. Odwrócił się i niemal natychmiast pożałował tej rycerskości. Szukacz syczał w ich stronę, był już bardzo blisko, nie dalej niż pięć metrów od drzwi. Amorficzna chmura błyszczących cząstek wznosiła się nad podłogą,

przybierając niewyraźny kształt anielskiej twarzy dziecka, małej dziewczynki. Chwilę później twarz rozpadła się do postaci koszmarnego stwora z pustymi oczodołami i wydłużoną szczęką.

Liam zastanawiał się, czy szukacz jest rzeczywiście tak wyczerpany jak twierdził Foster, czy w dalszym ciągu byłby zdolny wyrazić im krzywdę.

– Przeciskaj się, Liamie – rzucił Foster, popychając chłopaka. – Szybko.

Liam schylił się i przeszedł pod drzwiami, dołączając do dziewczyn na zewnątrz. Tuż za nim wyłonił się Foster i już ze zdecydowanie mniejszym wysiłkiem opuścił roletę za pomocą zewnętrznej korby. Drzwi załomotały o podłogę w momencie, gdy niewyraźny promień niebieskiego światła zaczął wydostawać się przez szparę.

– Osłabł tak bardzo, że nie przeżyje – powiedział mężczyzna z uśmiechem.

Wziął głęboki oddech i uśmiechnął się niepewnie.

– Przepraszam was za to. A więc – powiedział, zataczając ręką krąg nad horyzontem – witajcie w swoim nowym domu.

Liam odwrócił się od falistej rolety pokrytej niechlujnymi malunkami, które, jak dowiedział się później, nosiły nazwę graffiti. Zobaczył olbrzymi, podwieszany żelazny most, biegnący nad szeroką, błyszczącą rzeką, w stronę jaśniejszej metropolii widocznej na tle krwistoczerwonego, wieczornego nieba. Oszłołomiły go miliony migających świateł i mieniących się kolorów odbijających się w spokojnych wodach rzeki.

– Jezusie kochany, Panienko Przenajświętsza... to... to – zaniemówił na widok futurystycznej scenarii.

– O Jahulla! Widziałam już to – powiedziała Sal. – To Nowy Jork... A przynajmniej kiedyś tak wyglądał.

– Zgadza się – odpowiedział Foster. – Chodźmy coś przekąsić. Tuż za mostem jest knajpa z genialnymi burgerami.

ROZDZIAŁ 8

Nowy Jork
rok 2001

Pół godziny później cała czwórka siedziała na wysokich stołkach przy oknie restauracji, pałaszując podwójne cheeseburgery z frytkami. Liam spoglądał na zawartość swojego talerza z ostrożną ciekawością. Frytki nie wyglądały jak normalne ziemniaki, a woskowata, brązowa bułka przypominała mu, nie wiedzieć czemu, pokryte lakierem drewno. Ale unoszący się w powietrzu aromatyczny zapach kusił. Liam, podejrzliwie, obserwując zajadających ze smakiem kompanów, poszedł w końcu w ich ślady. Chłopak niezdarnie wpychał pokaźnego cheeseburgera do ust, przyglądając się skrzyżowaniu za oknem. Widział pulsujące światła billboardów, tłum zaaferowanych przechodniów, lśniące jak krople rosy samochody, neony świecące na latarniach oraz skrawek ciemnego nieba, ledwo dostrzegalny pomiędzy drapaczami chmur i przecinany czerwono-zielonymi światełkami mijających się samolotów.

– Wygląda zupełnie inaczej – powiedziała Sal. – Zupełnie jak Mumbai. Tata zabrał mnie tu kiedyś ze sobą w podróż służbową. To był przygnębiający widok: puste drogi, dużo ciemnych i opuszczonych budynków.

– Jak dla mnie wygląda zupełnie tak samo. – Maddy przegryzła kęs burgera.

– Ponieważ jesteśmy w dwa tysiące pierwszym roku, mniej niż dekadę przed twoimi czasami: drugą dekadą dwudziestego pierw-

szego wieku – odpowiedział Foster. – Globalny kryzys gospodarczy dopiero się rozpoczyna.

Liam odwrócił się od okna i spojrzał szeroko otwartymi oczami na Fostera.

– Nie mogę uwierzyć, że przeniosłem się w przyszłość o prawie sto lat!

– Ty owszem, ale dla Maddy to tylko dziewięć lat wstecz, a Sal urodzi się dopiero za jedenaście. – Wziął łyk zimnego, pianistego piwa z wysokiej szklanki. – Drużyna będzie stacjonowała właśnie tutaj. Przeszło pod mostem to wasza baza operacyjna: biuro terenowe.

– Są inne biura terenowe? – Maddy spojrzała pytająco.

Wytarł wargi i przytaknął.

– Ale nigdy ich nie odwiedźcie ani nie nawiążecie z nimi kontaktu.

– Dlaczego?

– Takie są zasady – odpowiedział, łapiąc w palce frytkę z talerza.

Sal wzięła głęboki łyk Dr Peppera.

– W dalszym ciągu nie rozumiem, po co tu jesteśmy. Co właściwie mamy robić?

– Jesteście strażnikami... no, powiedzmy, że to najlepsze słowo – odpowiedział Foster. – Wasze zadanie to patrolowanie czasu. Będziecie łapać intruzów z przyszłości, którzy pragną zmienić przeszłość. Agencja to ściśle tajna instytucja. Właściwie nie powinna istnieć, dlatego nie mamy oficjalnej nazwy. Wewnątrz Agencji nazywamy siebie Jeźdźcami w Czasie.

– Jeźdźcami w Czasie?

Foster zgarbił się i w zamyśleniu pogłaskał po brodzie.

– Słuchajcie... wyobraźcie sobie, że czas to rzeka, która niezmienne płynie w jednym kierunku. Możemy pływać po niej w górę lub w dół. Jeździć w czasie. Jazda w czasie przypomina wiosłowanie pod prąd. Wasze zadanie polega na odnajdowaniu innych

ludzi, którzy płyną pod prąd, choć nie powinni. Będziecie ich tropić, lokalizować i eliminować oraz usuwać wszelkie szkody, jakie zdążąli wyrządzić.

– W jaki sposób będziemy to robić? – spytała Maddy.

– Przeszkolę was – odpowiedział Foster tonem zdradzającym znużenie. – Najszybciej jak się da. Biuro terenowe musi zacząć działać niezwłocznie.

Sal podniosła głowę znad talerza.

– Ci z drużyny przed nami... jacy oni byli?

– Na początku trochę podobni do was. – Uśmiech zamarł na ustach Fostera. Starzec wyjrzał przez okno z poczuciem winy i przez dłuższą chwilę przygryzał wargę. – Młodzi, niedoświadczeni, początkowo przestraszeni... a na końcu mieli strasznego pecha.

– Ta istota naprawdę ich zabiła?

Przytaknął.

– Szukacze przedostają się niezwykle rzadko. Przed powrotem agenta z misji przeprowadzamy skanowanie gęstości. Ostatnim razem tego nie zrobiliśmy.

Słowa Fostera wywołały niezręczną ciszę.

– A więc – sytuację ratował Liam – kiedy rozpoczniemy szkolenie, o którym pan wspominał?

– Teraz – odrzekł Foster, spoglądając na nastolatków. Dopił resztkę piwa i wziął głęboki oddech. – Sądzę, że powinniśmy zacząć od małej lekcji historii: historii podróży w czasie.

ROZDZIAŁ 9

Nowy Jork
rok 2066

Doktor Paul Kramer przyglądał się ponurym ulicom miasta, zabitym deskami budynkom i porzuconym samochodom, które rdzewiały w zaułkach. Od czasu do czasu autokar mijał przechodniów, obskurne sklepiki i brudne okna, zza których sączyło się przytłumione światło. Nowy Jork był cieniem kwitnącego miasta z przeszłości. Niektóre przecznice wyglądały jak labirynt opuszczonych skorup zamieszkałych przez watahy psów i stada gołębi. Autokar jechał wzdłuż Broadwayu, kierując się w stronę Central Park West. Kramer oglądał nakręcone sześćdziesiąt lat wcześniej filmy. Wtedy te same ulice były pełne życia, kolorów i nadziei. Teraz to przygnębiające, szare miejsce – miasto gnijące kawałek po kawałku, przecznica po przecznicy. Autokar zwolnił, mijając budynek komendy policji z zakratowanymi oknami.

– Nie ma sensu jechać zbyt ostrożnie, Karl – powiedział Kramer.
– Zaczną coś podejrzewać.

Karl Haas przyspieszył odrobinę.

Kramer odwrócił się, aby spojrzeć w głąb autobusu: na fotelach siedziało ponad dwudziestu zamyślonych, skupionych mężczyzn. Wszyscy przygotowani do walki, ubrani w mundury, gotowi do wykonania misji. W przejściu pomiędzy rzędami zalegały sterty sprzętu – skrzynie i płócienne worki wojskowe wypełnione bronią.

„Świetni żołnierze, Paul!” – pomyślał, uśmiechając się z dumą.

– Jesteśmy prawie na miejscu – poinformował Karla.

Karl skinął głową.

– Przygotować się! – krzyknął do ludzi z tyłu.

Zareagowali błyskawicznie. Rozległ się szcęk ładowanej broni. Żołnierze byli bardzo doświadczeni – wielu z nich służyło w wojsku – i wszyscy bezwzględnie oddani planowi Kramera. Żaden nie miał żony ani dzieci.

Podróż w jedną stronę, byle dalej od tego umierającego świata, wypełnionego dziewięcioma miliardami głodujących ludzi. Kramer oferował tym ludziom nadzieję, szansę zmiany historii na lepsze. W kieszeni bojówek Kramera znajdowała się jedna mała rzecz, dzięki której wszystko to było możliwe: czarny notes.

Karl skręcił za rogiem Siedemdziesiątej Dziewiątej. Skrzyżowanie było bardziej zatłoczone niż zazwyczaj – kilku zgarbionych, nieszczęśliwych przechodniów powłóczyło nogami w drodze do domu. Kramer i jego ludzie znaleźli się naprzeciwko wielkiego gmachu – Amerykańskiego Muzeum Historii Naturalnej. Muzeum wyglądało jak wiele innych budynków: zabite deskami okna i drzwi, tynk pokryty odchodami gołębi i szerniałą, czekającą lepszych dni elewacją. Kramer poczuł ukłucie w sercu na widok tego niegdyś imponującego wejścia, które teraz pokrywał miejski brud i szpeciło graffiti. Ten wielki przed laty naród zasługiwał na więcej, to miasto zasługiwało na więcej. Muzeum było ponurą pamiątką po wspańniętych czasach, kiedy Manhattan stanowił centrum świata.

Miał ochotę zapłakać... szczerze zapłakać.

ROZDZIAŁ 10

Nowy Jork
rok 2001

– Na początku była teoria: w dwa tysiące dwudziestym dziewiątym roku utalentowany chiński matematyk, Edward Chan, napisał rozprawę naukową – opowiadał Foster. – Naukowiec twierdził, że, przynajmniej teoretycznie, można wygiąć czasoprzestrzeń i utworzyć w niej dziurę. Dopiero piętnaście lat później udało się stworzyć sprawny prototyp wehikułu. Zbudował go Roald Waldstein, genialny fizyk samouk. Nad projektem pracowały setki wielkich korporacji i wojskowych zespołów badawczych. Wszyscy postawili przed sobą jeden cel: wygrać wyścig o zbudowanie wehikułu czasu. Ale to Waldstein, pracujący w swoim garażu, zdołał pokonać praktyczne trudności i przekuć teorię w sprawne urządzenie. Waldstein w pojedynkę pokonał korporacje i rządy, zdobywając wyznaczoną nagrodę.

– Fortuny milionerów faktycznie rodzą się w garażach – zaśmiała się Maddy.

Foster przytaknął i z zapałem kontynuował opowieść:

– Podobno Waldstein sam przetestował wehikuł i wyruszył w przeszłość, z której powrócił jako inny człowiek.

– Dlaczego?

– Opowiadał, że zobaczył coś przerażającego.

– Co dokładnie?

– Nigdy nikomu nie powiedział, ale niezależnie od tego, co rzeczywiście ujrzał, uznał, że praca nad wehikułem wiąże się ze zbyt

dużym niebezpieczeństwem. Obsesyjnie walczył o zakaz prowadzenia eksperymentów związanych z podróżowaniem w czasie. W późniejszych latach Roald Waldstein wzbogacił się na innych wynalazkach, stał się wpływową osobistością, lecz nadal publicznie nawoływał do wstrzymania prac nad nową technologią.

– A prace oczywiście nie zostały zawieszono – odpowiedziała Maddy sącząca Dr Peppera.

– Oczywiście.

– No i jak się to wszystko skończyło? – spytał Liam.